

Bez powodu

„Dlaczego...?” Czyż nie jest to interesujący tytuł, jaki zaproponowała Maria Straszewska, tłumaczka sztuki francuskiej pisarki Marguerite Duras. Francuski tytuł brzmi: „L'amante anglaise”, co znaczy: mięta angielska, i jako taki nie jest zbyt zachęcający. Nie byłby to żaden powód do sygnalizowania wątpliwości, gdyby one nie zaczynały się już na tym podstawowym poziomie. A chodzi o powód dużo poważniejszy, mianowicie wystawienia tejże sztuki na deskach teatru zielonogórskiego.

Marguerite Duras — znana szerzej publiczności jako scenarzystka wybitnego filmu Alaina Resnaisa „Hiroszima, moja miłość”, poza tym nie miała znaczących sukcesów artystycznych. Jest pisarką drugorzędą w stosunku do nurtu „no wej powieści”, jaką to etykietą opatruje się nieomal całą współczesną literaturę francuską; czego też dobitnym przykładem jest niniejsza sztuka. Nie tylko wpływy formalne Robbe - Grilleta świadczą niekorzystnie o tej sztuce, ale także nieporadność dramaturgiczna.

Przydawanie takich haseł, jak „pisarstwo to ciężkie, trudne, niewdzięczne” (cytuje Jerzego Lisowskiego z programu do sztuki), nie może zakrywać tego, co jest słabą stroną literatury uprawianej przez Marguerite Duras. Pisarka programowo wydaje się być mało efektywna, co wcale nie jest zarzutem, ale podskórnie też nic się nie dzieje w tej sztuce.

„Dlaczego...” stawia pytania o kondycję współczesnego człowieka. A w literaturze zawsze tak było i będzie. Jedyńm węzłem dramaturgicznym jest absurdalna zbrodnia bez powodu, dzisiaj już będąca klasycznym chwytem, nie tylko w teatrze. Ta wydawałoby się ma kabreśka jest tylko zewnętrznym sztafem, bohaterowie, a jest ich dwoje (nie licząc „tego, który zadaje pytania”), pozostają szarzy, zmięci. Wierzę, że ludzie są tacy w środku, bez względu na okoliczności, które są powodem i motorem działania, ale nigdy nie uwierzę, że są nijacy. Prawdopodobnie przy okazji tej sztuki trzeba uwzględnić franeu-

skie rozliczenia z egzystencjalizmem, i można je byłoby wskazać nie tylko palcem, ale w końcu co to obchodzi polskiego widza.

Te wszystkie zastrzeżenia i wątpliwości można skierować pod adresem dyrektora teatru, który w końcu decyduje o repertuarze, oraz — reżysera. O ile dyrektor mógłby być usprawiedliwiony, gdyż w lekturze prawdopodobnie ta sztuka ma w sobie ewentualnie ciekawe rozwiązania sceniczne, to reżyser za winił na całej linii. Przede wszystkim nie zdecydował się na żadną jednoznaczную koncepcję. A jest ich kilka. Kulturowa — to znaczy, polemika z egzystencjalizmem; w tym wypadku z reżysera są wymagane dość szerokie rozeznanie w filozofii i innych naukach humanistycznych. Inna koncepcja: dramaturgia psychiki. Polega na wnikliwej pracy z aktorem nad „ekstem i umiejętnym sterowaniem możliwościami interpretacyjnymi aktora. Tego też zabrakło. A wreszcie koncepcja strawnego teatru; choć i o zwykłe rzemiosło, żeby „wygrać” chociaż kilka momentów, aby poruszyć widza. Reżyserowi, a jest nim Jowita Pienkiewicz, wszystko się pomieszało i nic z tego nie wyszło. Spektakl jest nudny i na scenie nic się nie dzieje. Nic, w tym sensie, że nie porusza widza. Ani to, że ktoś został zamordowany i makabrycznie potem trup roszcłonkowany. Ani to, że apatia jest wspólna dla bohaterów i widza; nikt nie odczu-

wa tego zniecierpliwienia jako czegoś negatywnego, choćby to było podane po szkolarsku. Szaro od początku do końca. Aktorzy usztywnieni brakiem zwyczajnego ruchu scenicznego, bez stopniowania napięcia wewnętrznego, mówią, mówią, mówią.

Mówią, zdani tylko na siebie. I oni w sumie ratują ten spektakl, gdyż byłby niestrawny i nie do oglądania do końca. A tak w ich recytacji można chociaż posłuchać literatury. Zwłaszcza drugi akt, gdzie miejscami Danuta Ambroż wylamuje się i jest trochę teatru. Wtedy też to samo czyni Hilary Kurpanik; i odnosi się wrażenie, że zacznie się coś dziać, ale to już koniec. Należy jeszcze wspomnieć rolę Jacka Piątkowskiego, aktora ciekawego, ale w tym spektaklu wcale nie wykorzystanego.

Winę za taką postać rzeczy ponosi w głównej mierze reżyser, który oprócz braku wspomnianej koncepcji, nie miał nic do powiedzenia jako realizator. Sztuka aż kusi, żeby nią pomanipulować, nadać znaczenia pewnym problemom, jasno wyartykułować postaci, i szukać nawet tego, czego nie ma w scenariuszu. Trochę życia, chciałoby się rzec. A wreszcie, aby wizja teatralna była pewną

autonomiczną całością, to i wspólnie z reżyserem scenograf też ma coś do powiedzenia. Dlatego piszę: to nie scenografia — to chałtura.

Powodu do wystawiania „Dlaczego...?” można byłoby ironicznie szukać w pytaniu postawionym w tytule sztuki. Lecz bez cudzysłowu: Dlaczego? Ale to tylko umizgiwanie się do literatury. Chociaż na tej ostatniej teatr stoi, i jest w nim posada, co się nazywa; kierownictwo literackie. Rozumiem to bardzo dosłownie, to znaczy jako obustronnie relatywne związki. Literatura — posada, i vice versa. Gdyż tutaj min. decyduje się o repertuarze i jego jakości. Stąd pytanie: dlaczego powody wydawały się wystarczające do wystawienia tej a nie innej sztuki. „Dlaczego...” Bez znaku zapytania i bez powodu?

WALDEMAR MYSTKOWSKI

Marguerite Duras: „Dlaczego...?” (L'amante anglaise). Przekład: Maria Straszewska. Zielona Góra, Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego. Premiera: 25 lutego 1984. Reżyseria: Jowita Pienkiewicz. Scenografia: Liliana Jankowska.